

Halina Hajdul

Wanda Sobolewska

z d. Promińskie

Al. J. Piłsudskiego 19m10.

Bi AKYSTOK

Sprawa ojca - Antoniego Promińskiego:



Córki nie są dokładnie zorientowane w działalności ojca na terenie palotyki. Uważają, a właściwie domyślają się, że w czasie pierwszej wojny światowej należał do POW. Nie są pewne, czy brał udział w wojnie polsko-sowieckiej. Pewne oznaki wskazują, że być może miał jakieś powiązania o II Oddziałem Sztabu Głównego WP /Wywiad i Kontrywiad/.

Aresztowali go Sowieci w ostatnich dniach września 1939-go roku w Białymstoku na ulicy i wszelki ślad po nim zaginął. Rodzina uważa, że skoro nie odezwał się ani nikt go nie widział, to zapewne został zamordowany wkrótce po zatrzymaniu w Białymstoku. Rodzina wielokrotnie podejmowała próby ustalenia dalszych losów ojca. W rodzinnym archiwum są w tej sprawie pewne dokumenty:

1. W dniu 4-go maja 1947-go roku ambasador RP w Moskwie pismem nr 319/R/46551/47 informował Stanisławę Promińską /żonę/, że sprawa poszukiwań lub ustalenia jego losów jest w toku.
2. 26-go stycznia 1949-go roku Polonia Amerykańska poinformowała panią S. Promińską, że poszukiwany Antoni Promiński na Zachodzie nie przebywa. Nadawca pisma zastrzega się jednocześnie, że nie ma możliwości prowadzenia poszukiwań na terenie ZSRR.
3. 28-go stycznia 1957-go roku Międzynarodowy Czerwony Krzyż nadesłał pismo, w którym stwierdza, że nie

posiada żadnych wiadomości o poszukiwanym.

4.13-go stycznia 1958-go roku pismo o podobnej treści nadesłał Polski Czerwony Krzyż.

Pochodzimy z Białegostoku. Ja/Halina/urodziłam się w 1927 r a moja siostra w 1929-tym. Nasza mama pracowała u notariusza zaś ojciec na poczcie. Powodziło się nam dobrze tak, że nie byliśmy przygotowane na złe warunki, które miały wkrótce nas spotkać. Wkrótce po wejściu Sowietów do Białegostoku aresztowano naszego ojca. To było w ostatnich dniach września. Nasza mama już wtedy nie pracowała. Myśmy też przerwały naukę. Chodziłyśmy po sklepach i stałyśmy w kolejkach, bo to już zaczynały się kłopoty z aprowizacją.

Mama i my we dwie mieszkaliśmy przy ulicy Fabrycznej. Przez wiele nocy na nasz dom były urządzone jakieś naloty: stukanie, dobijanie się i krzyki. Działo to na nas bardzo deprymująco. I to właśnie chyba dlatego nasza mama zgodziła się, chyba zbyt pochopnie, odstąpić pokój lejtnantowi NKWD, który pochodził z Mińska. Nasze mieszkanie było stosunkowo duże, mieszkaliśmy w zasadzie w centrum i dlatego wojskowe władze sowieckie naszym mieszkaniem się zainteresowały. Ten oficer okazał się być miłym, przyjemnym człowiekiem. Po jakimś czasie sprowadził do Białegostoku żonę.

Ciekawostką było to, że on nas uprzedzał, że nas wywiozą. Jednakże nasza mama podejrzewała, że on chce w ten sposób ułatwić sobie zajęcie naszego mieszkania. Jak bowiem powiedzia-

łam, nasz dom prezentował się ładnie, stał w ogródku, a samo mieszkanie było ładnie urządzone. I dlatego mama jemu nie wierzyła. Aż stało się to, co się stało.

13-go kwietnia 1940 roku o godzinie trzeciej nad ranem - było bardzo zimno, padał deszcz ze śniegiem - ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Myśmy nie wiedziały, kto to może być. Raptem usłyszałyśmy głos stróżowej, która mieszkała na górze: pani Promińska, proszę otworzyć, "pany" idut.

Mama otworzyła nadal nie wiedząc, komu otwiera. Przez moment myślała nawet, że może ojciec wrócił. Weszło chyba czterech NKWD-ystów, młodych ludzi i powiedzieli: "Sobirajties, powiezim was k'mużu." My zaczęłyśmy płakać, że nie chcemy jechać, że jest zimno i tak dalej. Oni tego nie słuchali tylko stale powtarzali: zbierajcie się. Pytałyśmy, kiedy pojedziemy: już, teraz, samochód czeka.

Myśmy były zbyt małe, aby coś przedsięwziąć. Mama straciła głowę. Natomiast jeden z NKWD-ystów zdjął ze ściany kilim, kapy z łóżka i sam nasze rzeczy pakował. Miałyśmy chyba ze trzy toboły, w których znalazły się nawet ojca rzeczy, pamiętam, że było ojca futro. Myśmy wierzyły, że jedziemy do ojca i dlatego mama nie chciała nic brać z rzeczy.

Cała ta operacja trwała chyba ze dwie godziny; pakowanie, sprawdzanie dokumentów, zrobiono nawet - na początku - rewizję. Czego szukali - nie wiemy. Na koniec powiedzieli, żebyśmy wzięły ze sobą trochę jedzenia. Jeden z NKWD-ystów wziął duży garnek, do którego wepchnął kawał słoniny.

Przed domem stał samochód ciężarowy, bez plandeki. Padał deszcz ze śniegiem, było bardzo zimno. My byłyśmy otulone kocami. Nasi nadzorcy zachowywali się bardzo grzecznie. To byli młodzi chłopcy. Tym samochodem zawieźli nas na dworzec Fabrycz-

ny, wówczas zwany Poleskim. Podjechaliśmy nie na sam dworzec, ale gdzieś dalej, gdzie oczekiwały nas wagony. Skierowano nas do jednego z wagonów, w którym już znajdowały się rodziny polskie. Był to wagon, podobnie jak i pozostałe, bydłocy. Po jego jednej stronie ulokowali się Polacy, a po drugiej Żydzi /ten podział ustalili się jakoś mimowolnie/. Nam przypadło miejsce na górze przy oknie. A po drugiej stronie była pani, która przed dwoma tygodniami urodziła dziecko. W tej rodzinie były dwie starsze osoby, jedna młoda dziewczyna i dwoje małych dzieci. Jedno z tych małych dzieci miało właśnie dwa tygodnie. Pod nami mieszkała pani Galewiczowa z dwiema córkami. A po drugiej stronie jechali Żydzi. Pamiętam, że zawsze rano czy po południu modlili się. Ustawiali się twarzami do drzwi, kiwali się i modlili się. Byli to bardzo porządni ludzie.

W wagonie nie było żadnych sanitariatów ani żadnego ogrzewania. W Białymstoku na stacji staliśmy chyba ze dwie doby. Po jakimś czasie rozejrzeliśmy się wokół siebie. W podłodze wagonu był otwór. Panie z prześcieradeł sporządziły parawan. Konwojenci dali nam kilka wiader z myślą o tym, że je do tych celów między innymi przeznaczymy. Wagony były straszne: brudne, obskubane, straszne. Okieneczka nie dość, że były małe, to jeszcze zakratowane. Zamknięto nas na ogromną sztabę i nie pozwalano podchodzić do okien. Jeśli mimo tego zakazu ktoś podchodził, krzyczeli.

Początkowo nie otwierano tego wagonu. Do rosyjskiej granicy nic nam nie dawano. Dopiero po przekroczeniu granicy po raz pierwszy otrzymaliśmy gorącą wodę /kapatok/ i potem dawali nam zupy. Gdy mijaliśmy większe stacje, to otwierano wagony i my musieliśmy chodzić z wiadrami po wodę. Ale do granicy nie otrzymaliśmy nic i musieliśmy odżywiać się własnymi produkta-

ni, które zabraliśmy ze sobą.

Wieziono nas przeważnie nocami. W ciągu dnia staliśmy zazwyczaj gdzieś w polu. Chodziło najwyraźniej o wykluczenie kontaktów z miejscową ludnością. A ludzie mijanych miejscowości byli do nas ustosunkowani bardzo przyjaźnie. Pamiętam, że po jakimś czasie pani, która miała to malutkie dziecko, straciła pokarm. Na jednym z postojów w akcie rozpaczony wyskoczyła przez okno, podbiegła do grupy rosyjskich kobiet, które karmiły kozy. Po jakimś czasie one przyniosły jej buteleczkę mleka. Później, w czasie dalszej podróży ona podgrzewała to mleko nad świecą w kubeczku. Pilnowała go jak jakiegoś skarbu. Wystarczyło to jej na jakieś dwa dni. To było jej pierwsze, pełne dramatyzmu przeżycie w podróży.

Wieźli nas około trzech tygodni, do maja. Pierwszego maja byliśmy w Pawłodarze. Akurat był "prażnik". Tu, w Pawłodarze wyładowano nas na ogromny plac. Chyba to było boisko. Tam było już sporo Polaków. Zobaczyliśmy dużo wojskowych namiotów. Tu nas zostawiono. Byliśmy tu jakieś dwa - trzy dni. Po jakimś czasie zaczęto nas rozwozić po kolchozach, zabierając po kilkanaście rodzin. Myśmy trafili do kolchozu, który był okropny. Umieszczono nas w budynku, który przed nami zajmowały chyba owieczki. Były to obory, podłużne baraki pełniące dotychczas funkcje owczarni. Wewnątrz było trochę słomy. Zostawiono nas tu samych, w ogóle przestano się nami interesować.

To było strasznie. W pobliżu nie było żadnego lasu. W sąsiedztwie nie było Rosjan lecz sami Kazachowie. Z nimi w ogóle nie mogliśmy się dogadać.

Miejscowa ludność była do nas wrogo nastawiona. Było to efektem propagandy władz, które już wcześniej uprzedzały ich, że będą przywiezieni kułacy i krwiopijcy. A ponieważ z nimi nie można było porozumieć się, gdyż oni języka rosyjskiego prawie

nie znali, przez jakiś czas temu wierzyli. Ale po jakimś czasie przekonali się, że to nie jest prawda.

Nasze panie pisały podania do władz o przeniesienie nas do innych miejscowości. Po jakimś miesiącu przewieziono nas do kołchozu, w którym byliśmy już do końca. Razem było tam nas trzydzieści trzy osoby. Była to miejscowość Pietropawłowka, a kołchoz zwał się "Budionnowka", rejon Urlitupskij /później Michajłowski/, obłast pawłodarskaja. Były z nami: pani Matecka, pani Kokocińska, Lipińscy, Litwinowicze, Zaczeniukowie, Sucharscy. To chyba już wszyscy.

Tu, podobnie jak i poprzednio, zawieziono nas pod budynek szkoły, wyrzucili z samochodu i powiedzieli: róbcie sobie co chcecie. A do miejscowych ludzi powiedzieli, że przywieźli wrogów "naroda". Było już pod wieczór. Każdy siedział zmęczony, brudny, głodny i najczęściej zapłakany. I tak nadal nie wiedzieliśmy, co dalej mamy robić ze sobą. A jednak miejscowi ludzie okazali się bardzo dobrzy. Pomaleńku, przekazując wzajemną nieufność, zaczęli do nas się przybliżać. Zwłaszcza kobiety podchodziły do nas i zabierały po jednej rodzinie. To wszystko działo się samorzutnie, myśmy nikogo o to nie prosiły bo i nie potrafiłyśmy. Zresztą nie znaliśmy ich zamiarów.

Gospodynie pozabierały nas do swoich, bardzo ubogich domków. Miejscowa ludność mieszkała w ziemiankach. Ziemianki to się buduje tak: z darniny wycina się dość duże kawałki, które układa się jeden na drugim. W ten sposób buduje się tutaj domy. Ale budowane w ten sposób domy oblepia się z obu stron gliną. Gлина, wymieszana z kiziakiem /nawozem końskim/ spełnia rolę spoiwa i wiąże poszczególne elementy darniny.

Ziemianki jako domy były dość ciepłe: ściany były grube a i same ziemianki były nieco wkopane w ziemię. Ściany budynku były

szczelne, bo ziemia jest ciężka i pod wpływem tego poszczególne elementy się sprasowały. Podłóg też tam nie było. W to miejsce były klepiska, które co tydzień smarowało się kiziakiem. Czasem robiliśmy na tem wzory. W lecie kładliśmy na to liście. Okna były na wysokości ziemi.

W każdym domu były taka "ruska pieczka". Było to miejsce spotkań całej rodziny. Tam w zimie wszyscy spali. Członkowie rodziny kłócili się o lepsze miejsce. Najważniejsza osoba spała na piecu. Tam też suszyło się słoneczniki, których tam było bardzo dużo. Trzeba przyznać, że myśmy tymi słonecznikami się odżywieli.

Życie rodziny koncentrowało się w zasadzie w kuchni. Taki domek bowiem składał się z pokoju i kuchni. Jeśli ktoś nas do siebie wziął, to mieszkaliśmy w kuchni. Takie mieszkanie było w miarę wystarczające w lecie. Ale w zimie dodatkowo mieszkali kury, owieczki i cielaczek, gdy krowa się ocieliła, były też małe baranki. Ale to też miało dobre strony. Bo jeśli na przykład poilo się cielaka, a gospodyni coś tam zawsze temu cielakowi włożyła. Mógł to być czy kartofel czy kawałek chleba, to podczas pojenia czy karmienia cielaka to się dosłownie kradło. Dobrze było napić się chociaż tej wody z mlekiem. Razem z cielakiem piłyśmy tę wodę z mlekiem.

Spaliśmy na pryzach, na których była słoma i siano. Początkowo miałyśmy swoje kołdry. W miejscach, gdzie wata w kołdrze była zazywana, były niesamowite wszy. Wieczorami, przy świetle lamp karbidowych łapałyśmy /iskałyśmy/ wszy przy pomocy dużych grzebieni. Tam przecież nie było ani mydła ani żadnego proszku. Pranie odbywało się w Ługu, robionym z drewnianego popiołu. Popiół sypało się do beczek i zalewało gorącą wodą, dzięki czemu woda stawała się bardzo mięka. W tej wodzie można było

umyć się i prać. Tam nie było wielu podstawowych artykułów, które są potrzebne na codzień. Nie było cukru, soli czy zapalek. Gospodynie domowe musiały zasypywać żar popiołem, aby go przechować do chwili, gdy ponownie zajdzie potrzeba rozpalknia ognia. To było bardzo kłopotliwe zwłaszcza zimą, gdy były ogromne śniegi. Pożyczano sobie żar, ale każda gospodyni dbała o to, żeby przechować żar w swoim domu.

Po przyjeździe popędzono nas do pracy. Każdy musiał iść do pracy niezależnie od tego czy chciał, czy nie chciał. Początkowo grabiłam siano, ale to było wyjątkowo ciężkie zajęcie. Byłam przy tym mała, anemiczna i w porównaniu z siostrą - chucherko. W lecie wszystkie miejscowe kobiety musiały wychodzić do pracy, a ich dziećmi nie miał kto się zajmować. W tym celu zorganizowano coś, co było i żłobkiem i przedszkolem jednocześnie. Tam zaangażowano mnie, Nowicką. Ponieważ myśmy były mało wydajne w pracy na polu, skierowano nas do tego żłobka, który tam nazywał się "jaśle". Tu było już troszeczkę lżej, a poza tym można było coś zjeść z dziećmi.

Nasza mama od początku naszego pobytu na Syberii bardzo chorowała i w ogóle nic nie robiła. Miała duże rany na nogach, a w ogóle to była niezaradna i zagubiona. Mama chorowała i pilnowała dziecko u naszej gospodyni. Owa gospodyni miała bardzo chore dziecko/gospodyni nazywała się Chinka/. To dziecko zapewne by umarło. Miało dyzenterię, czerwonkę i było odwodnione. Rączki i nóżki były obciążone skórą. To były kości obciążone skórą.

Gdy wybuchła wojna niemiecko - sowiecka, wszystkich mężczyzn pobrano do wojska i te kobiety zostały same. One nieco lepiej miały od nas o tyle, że miały przydomowe ogródki i czasem krowy. A w ogóle to one z nami się dzieliły. One musiały

oddawać mleko na "kontyngent". Z mleczarni przynosiły odwirowane mleko, siwe, po odciążeniu śmietany. I tym mlekiem one dzieliły się z nami. Trzeba powiedzieć otwarcie, że gdyby nie ci ludzie, to byśmy nie przeżyli. Umarlibyśmy z głodu, a w zimie z zimna.

Zimy tamtejsze były straszne, a buriany /śnieżyce/ bardzo niebezpieczne. Zasypywały one całe nasze domostwa. Po ustaniu śnieżycy należało się odkopać. Gdy byli mężczyźni, to oni tym się zajmowali. Kto się odkopał, ten pomagał innym wydostać się z mieszkania. W trakcie odkopywania powstawały całe tunele. Tu było widać solidarność i pomoc sąsiedzką. Pod koniec domy wyglądały jak śnieżne zasy wokół których były śnieżne tunele. Robiono specjalne schodki w śniegu, aby łatwiej można było wydostać się lub wejść. A wychodzić trzeba przecież było choćby po wodę do studni.

Branie wody ze studni było bardzo niebezpieczne, bo same studnie były zamrożone. Otwór był tak wąski, że przechodziło przez niego tylko wiadro. Wyciągnąć wodę było bardzo trudno, bo wszystko było oblodzone no i było strasznie zimno. A gdy wiał burian, to przy studni nie można było ustać.

Kiedyś pojechałam z miejscową nauczycielką po drzewo. Bo ja pracowałam w szkole jako woźna. Nauczyciele i w ogóle wszyscy pracownicy musieli zaopatrzyć szkołę w drzewo. Właśnie z nauczycielkami jeździłam do lasu po drzewo. Gdy były upały, to byki nie chciały iść. Gdy napikujemy i nałożymy drzewa na furę, to troszkę zaśniemy. A wówczas byki idą sobie tam, gdzie chcą. Dobrze było, jeśli wracały dobrą drogą do domu. Ale czasem skręciły Bóg wie gdzie, my się budzimy i zupełnie nie wiemy gdzie jesteśmy i jak dostać się do domu. Nauczycielki pochodziły z Le-

ningradu, wywiezione do Kazachstanu w czasie blokady miasta. Oprócz nich były jeszcze Niemki z Kaukazu. Później zaczęto tam przywozić nie tylko Niemców ale i Czeczeńców, Ukraińców. Jedną z mieszkank Leningradu została zesłana dlatego, że jej mąż dostał się do niewoli niemieckiej. A w szkole nie było podziału na nauczycielki i pozostały personel. Wszyscy musieli pracować jak już mówiłam, przy zwożeniu drzewa na zimę!

Pracę w kolchozie nawet lubiłam, a to dlatego, że czasem można było napić się mleka. A poza tym brygadzie pracującej w polu gotowano zacierkę we wspólnej kuchni. Tak więc przynajmniej było jedzenie, bo w domu to myśmy głodowały. Jedzenie robiłyśmy i w ten sposób, że zbieraliśmy obierki z ziemniaków, które suszyliśmy, wielko i sypało się na gorący kapiatok. O sól było bardzo trudno. Przywożono ją ze słonych jezior. Była czarna, brudna i trzeba było przemywać ją wodą.

Zbierałyśmy też na polach zgniłe kłoski. Chodziło się po polu w śniegu i błocie. Przynosiło się do domu wielki worek kłosek. Gdy to się przebrało, przemyło i przewiało, to zostawała garstka pszenicy. A i to było w połowie zgniłe i przerośnięte. A trzeba było pochodzić po błotnistym polu.

Tam były olbrzymie pola słonecznikowe. I myśmy, razem z gospodynią chodziły je kraść. Zapamiętałam taki oto, chyba śmieszny moment. Leciał samolot. Myśmy myślały, że on nas śledzi. Wyraszyłyśmy się nie na żarty i upadłyśmy się w słoneczniki starając się ukryć. Czekałyśmy, aż przeleci. On oczywiście nie po to leciał, ale myśmy bali się dosłownie wszystkiego. Po takich wyprawach przynosiło się dużo słoneczników, które potem suszyliśmy na piecu. Owe pestki jedliśmy przez całą zimę. I to nas w znacznej mierze podtrzymywało. Ale najgorzej to było na

przednówka. Mama zbierała lebiodę. Kiedyś nazbierała grzybów, które następnie odgotowała. Żal jej było wylewać wodę po grzybach i tą wodą nas nakarmiła. Ponieważ grzyby były trujące, zatruliśmy się tą wodą. Zbieraliśmy też pokrzywę. Robiliśmy też lepioszki. Gdy proso się tłucze, to zostają łuski. Te łuski kleiliśmy z wodą i robiliśmy z tego lepioszki. Pamiętam, że to sobie robiliśmy w szkole.

Pamiętam też tragiczny moment, nie pamiętam tylko, w którym to było roku. W Taszkencie mieszkała nasza kuzynka, która również była wywieziona. Ona do nas napisała list, w którym znalazło się stwierdzenie, że "tej zimy chyba nie przeżyjemy." I ten list przechwyciło NKWD. Ponieważ list był adresowany do mamy, została ona aresztowana. Zostałyśmy same. Mamusi nie było dość długo, chyba ze trzy tygodnie. Nie wiedziałyśmy o matce nic. Chodziłyśmy w końcu do prezydenta kolchozu, prosiłyśmy, płakałyśmy. Widocznie nas wysłuchał. Po jakimś czasie mamę zwolniono. W zasadzie nie mieli powodów, aby mamę zatrzymać. Ale czy mieli powód, aby nas wywieźć?

Był też jeszcze inny groźny moment, kiedy mnie chciano zabrać do Karagandy. Otóż mnie /Wanda/ i koleżankę Poznańską chciano zabrać do "trudoarmii" /armia pracy/. Trudoarmia była właśnie w Karagandzie. Ja się ukrywałam. Za naszą chatą było niewielkie jezioro. W tym jeziorze przesiedziałam całą dobę, aż werbownicy, którzy przyjechali w sprawie werbowania ochotników do trudoarmii nie wyjechali. A Halinę Poznańską zabrali. Ona po jakimś czasie wróciła. Uciekła stamtąd, ale ją tam podobno zgwałcili. Ona była w moim wieku. A ja najgorsze przesiedziałam w wodzie. Już nie pamiętam, czy mi coś przynoszono do jedzenia. Jeśli tak, to zrobiła to Chimka, nasza gospodyni, bo

mysmy były bardzo zżyte z miejscowymi kobietami. Jeszcze raz trzeba powiedzieć, że gdyby nie pomoc z ich strony, to byśmy już dawno nie żyły. Współżycie z nimi układało się nam bardzo dobrze. Pomagałyśmy sobie wzajemnie.

Nieprzyjemny też był moment, gdy władze radzieckie chciały zmusić nas do zmiany obywatelstwa to znaczy wyrzeczenia się obywatelstwa polskiego i przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Zebrano nas wszystkich w tej sprawie przed sielsowietem. Była z nami pani Kawałowa. Ona miała złote zęby. Ten moment to pamiętam. Kazali oddać nam zaświadczenia, które sami nam wydali w 1941-ym roku stwierdzające, że jesteśmy Polakami. Oczywiście nikt nie chciał tego zaświadczenia oddać. I właśnie pani Kawałowa miała złote zęby. Tam był taki Kozak, który na "żywca" wrywał jej te zęby. Ona upadła na kolana, a on jej te zęby wrywał. To był najbardziej tragiczny moment.

Zaczęto nas szykanować. Kazano nam codziennie przychodzić do sielsowietu i meldować się. Zabroniono nam opuszczać teren kółchozu. Ten ostatni zakaz był mocno problematyczny, bo dokąd tu można było pójść? Zresztą nie mieliśmy pieniędzy. I tak nigdzie nie chodziliśmy.

Raz z Haliną Poznańską poszliśmy kopać kartofle. Ponieważ mieszkaliśmy w pobliżu granicy obłasti, miejsce do którego poszliśmy na wykopki znajdowało się już w sąsiedniej, nowosybirskiej obłasti. Kiedy już skończyliśmy pracę powiedziano nam: jako zapłatę bierzcie sobie tyle kartofli, ile chcecie. To my, dwie młode dziewczyny brałyśmy po pełnym worku kartofli. Nie miałyśmy nawet wózka. Ale chciałyśmy wzać jak najwięcej. Wyszliśmy za kółchoz i tu ustaliśmy; koniec - ani ona, ani ja nie możemy nieść. Postanowiłyśmy, że będziemy ciągnąć najpierw je-

den worek, a następnie drugi. I tak na zmianę. A do domu było jakieś siedemnaście do dwudziestu kilometrów. Ponieważ te worki ciągnęłyśmy po ziemi, one nam się porwały. Nie było innej rady: jeden worek ukryłyśmy w kopce siana, a drugi ciągnęłyśmy nadal. Zaciągnęłyśmy ten jeden worek na miejsce i wróciłyśmy po drugi, ale już go nie było. To dopiero była rozpacz. Z tego też powodu, wysiłku, dostałyśmy okropne rozwolnienie. Bo ta gospodyni nas nakarmiła. Myśmy po dłuższej przerwie najadłyśmy się do syta. I to nam zaszkodziło. Bo tam do syta to myśmy ~~nie~~ tam się nie najadły. Zawsze marzyłyśmy o kawałku chleba. A bywało tak, że chleba nie widziałyśmy miesiącami. Najczęściej jadłyśmy łupiny, zacieruchę zalewaną na gotujący się kipiatak albo zalewajkę. To jadło się najczęściej dlatego, że tylko to w zasadzie było, a również i dlatego, że to było najbardziej oszczędne.

Nie trzeba chyba dodawać, że to wszystko było bez tłuszczu. Nie trzeba było dużo kartofli ani też dodawać dużo mąki.

Pamiętam, kiedyś pojechałam z gospodynią po drzewo i w drodze powrotnej złapał nas burian. Nie wiedziałyśmy w ogóle, co mamy robić. Nie było widać nawet drogi. Dosłownie nic. Ona położyła się pod jednego byka, ja pod drugiego i tak czekałyśmy do rana. Jedną drugą pocieszałyśmy i bardzo bałyśmy się, żeby nie zasnąć. Gdybym wówczas zasnęła, to nasza obecna rozmowa nie byłaby możliwa.

Do domu przywiozłyśmy same wierzchołki tego drzewa. Tylko to można było spiłować, bo reszta, cały pień drzewa był w śniegu, dokopać się było trudno.

Wracając do sprawy obywatelstwa. To było w 1942-gim roku, po wyjściu wojska gen Andersa do Iranu. Widziałam, bo do tego jeszcze byłam za mała, jak naszym paniom zabierano zaświadczenia

o obywatelstwie polskim. Tam właśnie zęceno się nad panią Kabalową. Nikt z naszych rodzin nie przyjął obywatelstwa sowieckiego. Żadna też z naszych rodzin tam nie została. Zaczęły się szykany. Nazywano nas "Palaczki". Mówili do nas: "palaczki - sraćki". Wtedy, gdy nasze mamy nie przyjęły sowieckiego obywatelstwa, to ich stosunek do nas radykalnie się zmienił. Dotyczy to miejscowych władz kołchozowych. Oni do nas odnosili się bardzo źle. Tak jak miejscowe kobiety nadal pozostały w stosunku do nas nadal życzliwe, tak władze zmieniły się na niekorzyść. I to nie ta miejscowa lecz przyjeżdżające do sielsowietu. Represji za to nie było.

Zaczęto nas traktować surowiej. Bili nas nahajami. Albo przyjeżdżali w nocy, stukali do drzwi i wołali: wstawaj, trzeba iść młócić. Ja wówczas miałam może piętnaście lat, a oni kazali mi wstawać w nocy i młócić. Oni mnie rugali i ja ich rugałam. Tam właśnie nauczyłam się rugać. Rugałam się jak się patrzy. Ale czy mogłam zachować się inaczej, jeśli on mnie bił nahajem. Bili nahajami nie tylko nas, ale i swoich też.

Były też pokazowe procesy. Tam, gdy się jeździło w pole, to zabierało się ze sobą ciemne butelki z wodą, którą się w polu wypijało czy nawet wylewało. Do opróżnionej butelki wsypywało się zboże, najczęściej pszenicę. Na takiej kombinacji przyłapano nauczycielkę. Zrobiono jej za to pokazowy proces w szkole. I ona za to dostała trzy lata zesłania. Ta nauczycielka nazywała się Grunia. Trzy lata zesłania za butelkę zboża. Jak widać, swoich traktowano bardzo surowo.

Stamtąd można było wyjechać tylko wówczas, gdy powstawała armia gen Andersa. Ale od nas nikt nie wyjechał oprócz państwa Litwinowiczów. Ale tam był mężczyzna, pan Litwinowicz. Ale z tych

rodzin, w których były same kobiety, nie pojechał nikt. Zresztą na naszej sytuacji zaciążył i ten fakt, że myśmy mieszkali w samym kącie, trzysta kilometrów od Pawłodaru. Nawet wiadomości przychodziły do nas ze znacznym opóźnieniem. Zresztą w jaki sposób można było dostać się do Pawłodaru?

Młodzi chłopcy: Edek i Janek Zaczenniukowie, Wiesiek Lipiński, Edek Nowacki. Wszyscy oni poszli do wojska. Janek Zaczenniuk był w Kościuszkowcach, a tamci trzej byli u Andersa. A co my mogliśmy same zrobić? Nikt by nawet nie odtransportował. A to byli młodzi chłopcy, ryzykanci i im się udało. I wszyscy oni wrócili do Polski.

Tam na Syberii byliśmy wszyscy bardzo religijni. Ostatnio to mieszkaliśmy w takiej bani. To pomieszczenie miało jakieś trzy metry długości i dwa metry szerokości. Tam była prycza, a pod oknem stała skrzynka. I to było nasze mieszkanie. W tym pomieszczeniu myśmy były tam bardzo szczęśliwe. Mieszkaliśmy same, bez zwierząt. I tam do nas zbierały się panie na różaniec. Odprawialiśmy też nabożeństwa majowe. Gdy nie mieściliśmy się w bani, to wszystkie siedziałyśmy obok i tak się modliliśmy.

Rocznych świąt nie wyprawialiśmy, bo nie było z czego. Na samym początku pobytu wyprawiono uroczyste święta u państwa Zaczenniuków. Tam często człowiek nie potrafił powiedzieć, jaki dziś jest dzień. Oczywiście o Wigilli pamiętaliśmy zawsze. Tylko w pierwszym roku pobytu urządziliśmy wigilię, a to dlatego, że wszyscy mieliśmy jeszcze sporo swoich rzeczy.

W pierwszym okresie pozyskiwaliśmy żywność ze sprzedaży naszych rzeczy. Sprzedawałyśmy to powłoczki, to ubrania. Za to dostawałyśmy albo trochę maki albo trochę ziemniaków, albo też otrzymywałyśmy troszkę mleka. Z początku było więc jako tako. Kiedy jednak skończyły się nasze rzeczy z Polski, trzeba było

liczyć na własny spryt. Trzeba było kraść. A kradliśmy pszenicę i pestki głównie. Zbieraliśmy też kartofle po kartofliskach. Ale tam można było iść dopiero wówczas, gdy one były zamrożone. Chodziliśmy też kopać kartofle u gospodarzy. W ogóle pracowaliśmy u ludzi. Za to dostawaliśmy przynajmniej jedzenie. To już czyniło życie niechtł lżejsze.

Dla tamtejszych ludzi starszych uczucie religijności nie było obce. W zasadzie we wszystkich domach wisiały ikony. Przed ikonami paliły się świece. Najprzyjemniejszy moment był wtedy, gdy ktoś umierał. Myśmy wszędzie chodziliśmy na stypę. Tu można było się najeść. Wówczas zdarzały się takie momenty, kiedy nie byliśmy głodne.

Tam jest też taki zwyczaj, że na Święta Wielkanocne zmarłym nosi się na grób upominki. Najczęściej były to jajka czy jakieś kołaczki. To myśmy chodziły na cmentarz i to zbieraliśmy. Wówczas to była uczta.

Młodzi w tym względzie byli już inni. Zresztą tam młodzieży było niewiele. Początkowo było trochę młodzieży, która wieczorami śpiewała i tańczyła. Ale z chwilą wybuchu wojny było ich znacznie mniej. Poźniej to już przywożono tylko rannych. Ranni wracali nie tylko z frontu niemieckiego, ale i z fińskiego /na początku/ oraz z japońskiego. Żołnierze na froncie byli też biedni. Zanim Stany Zjednoczone nie przyszły Związkowi Radzieckiemu z pomocą, żołnierze pisali do żon rozpaczliwe listy. Nasze sąsiadki dosłownie odejmowały od ust dzieciom i tam posyłały, na front. Albo piekły i wysyłały sucharki, albo rogaliki. Bo ich mężowie pisali rozpaczliwe listy: że nic nie mają, ani dobrego ubrania ani jedzenia. W tej sytuacji te biedne kobiety posyłały tam wszystko, co mogły. Gdy natomiast Stany Zjednoczone zaczęły pomagać, to i nawet nam się poprawiło. Wówczas przestały

przychodzić błagalne listy z frontu. Sytuacja dokładnie się odwróciła. Teraz paczki przychodziły z frontu, skąd przysyłano kobietom to jakieś materiały to jakieś inne rzeczy. I myśmy też niejednokrotnie dostawały jakieś rzeczy z amerykańskiej pomocy. Oczywiście to nie była stała pomoc. Otrzymywałyśmy to sporadycznie. Otrzymywałyśmy na przykład cukier. Po wojnie to otrzymywałyśmy cukier czy sól w workach i dzieliliśmy to między sobą. Dostawałyśmy też i rybę.

Pogrzeby tamtejszych ludzi były bardzo religijne. Oczywiście bez udziału księdza /papa/, bo go tam nie było. Przez całą noc poprzedzającą pogrzeb kobiety śpiewały. Były też zawodowe pracownice, które wynajmowano na tę okoliczność. Starsze kobiety były z reguły wierzące. Młodzi byli już inni. Na mogiłach stawiano krzyże. Ale świąt już nie obchodzono tak wystawnie i uroczysto. Chociaż Święta Wielkanocne obchodzono uroczysto, na miarę ówczesnych możliwości. Nowonarodzone dzieci były chrzczone z wody. Każde dziecko było ochrzczone z wody.

Kiedy Niemcy uderzyły na Związek Radziecki /1941 r/, tamtejsi ludzie z utęsknieniem czekali na nich. Bardzo się cieszyli, gdy dochodziły wiadomości, że Niemcy są coraz bliżej, że już stoją pod Moskwą. Często powtarzali z nadzieją: a może i do nas też dojdą? Oni naprawdę mieli dość już tego komunizmu. W tym wypadku jednakowo myśleli i młodzi i starzy. Tu trzeba poczynić zastrzeżenie, że oni jak i my też nie wiedzieliśmy, co się działo na tyłach /zbrodnie niemieckie/. Łączność z krajem mieliśmy tylko do 1941-go roku.

Z docieraniem informacji w tamte rejony było różnie. Myśmy nawet o zakończeniu wojny dowiedzieliśmy się dużo później. Zawsze gdzieś około godziny szóstej - piątej /po południu/

chodziłyśmy do listonosza. Tam zbierała się cała nasza polonia, bo czekaliśmy na jakieś wiadomości. Nasz listonosz jeździł rowerem do Michajłówki, zabierał pocztę i wracał gdzieś tak około godziny piątej. Na a u nas była już taka tradycja, że o tej czekałyśmy na niego. Pamiętam /Wanda/, że pod sielsowietem powiedziano nam, iż zwoływany jest miting, bo skończyła się wojna. Pamiętam, że tam jeszcze śnieg leżał, na wierzchu, a pod spodem była woda. Tam śniegu zawsze było bardzo dużo, ale gdy się topił - to bardzo szybko - w ciągu trzech dni. Przyjechali do nas przedstawiciele sielsowietu na miting i powiedzieli oficjalnie, że wojna skończona. Wojna skończyła się dziewiątego maja, a myśmy dowiedzieli się o tym w kilka dni później. Tam wiadomości przychodziły później.

Wojna skończyła się w 1945-tym roku, a myśmy wrócili do Polski w 1946-tym. Trzymali nas tam jeszcze przez rok. To był rok pełen napięcia: puszczą czy nie puszczą? Terminów wyjazdu mieliśmy wiele. Wydaje się, że oni chyba mieli kłopoty z transportem. Ciągłe podawali nam nowe terminy i ciągle nas zwodzili. Każdorazowo mama czyniła przygotowania do podróży: piekła sulary i organizowała jedzenie. Gdy przychodził wyznaczony dzień okazywało się, że nie możemy wyjechać. Do końca nie byłyśmy pewne, czy i tym razem wyjedziemy, kiedy podano nam kolejny termin, który tym razem został dotrzymany. Tym razem nadeszło zawiadomienie, które nakazywało, aby kobiety, które posiadają paszporty, zgłosiły się do sielsowietu. I mamusia z tymi paniami poszła tam. My z siostrą zostaliśmy w domu, bo przecież paszportów nie miałyśmy. Zbliżał się wieczór. Obie z siostrą włożyłyśmy na dach domu, aby widzieć, jak mama będzie wracała. Już szarzało, kiedy pod dachem zobaczyliśmy sylwetki. natychmiast pobiegłyśmy. To

był spory kawałek drogi. My biegliśmy pełne niepewności, czy tym razem wreszcie pojedziemy.

Z kolchozu wyjeżdżaliśmy furami. Przed wyjazdem dano nam ubrania /pamiętam zielone spodnie/, dano nam też jedzenie. Było to wszystko chyba darem z UNRR-y. Otrzymaliśmy też pomoc ze Związku Patriotów Polskich. Otrzymaliśmy też mąkę. To wszystko smakowało nam wyjątkowo. Termin "smakowało" należy rozumieć niecóż inaczej, niż rozumiemy to na co dzień. Pamiętam, jak w 1941r. otrzymaliśmy w paczce z Polski kawałek zjełczałej słoniny. Nie myślałam, że coś bardziej może mi smakować niż ten kawałek nieświeżej słoniny.

Przed wyjazdem do Polski ubrano nas w zielone spodnie i bluzy amerykańskie. Nie miałyśmy bielizny i te ubrania nakładałyśmy na gołe ciało.

Podróż do Polski przebiegała też z pewnymi trudnościami. Na trzy tygodnie utknęliśmy w Pawłodarze, bo tam wybuchła epidemia tyfusu. Zatrzymano nas w szkole. To nas kosztowało sporo nerwów. Do Polski odszedł już jeden transport, a nas nie puścili. Nas codziennie kierowano do bani, poddawano odwszawianiu, chciano nam nawet uciąć włosy, ale jakoś uprosiliśmy i nas zostawiono. Nikt z naszej grupy nie zachorował. Epidemia wybuchła gdzieś w sąsiedztwie.

Powrót był bardzo miły, bez konwoju. Jechaliśmy ze śpiewem. Transport zatrzymał się w Moskwie. Tam nam dano jeść /zupa/. Po Moskwie biegałyśmy boso, bo nie miałyśmy obuwia. Zresztą latem tam nigdy nie nosiło się obuwia. W Moskwie oglądałyśmy pomniki i byłyśmy w cerkwi. Także w Moskwie otrzymaliśmy po pięćdziesiąt rubli na osobę. Ale na niewiele to się zdało, bo ceny były zawrotne, a zresztą nic nie było do kupienia. Ale wspomnienie

zostały. W drodze nasz transport był rozśpiewany pieśniami religijnymi. Do dziś obie jesteśmy zgodne: to był jeden z najprzyjemniejszych okresów w życiu.

Nasze zetknięcie się z Białymstokiem było nieprzyjemne. Rano, nie było gdzie się umyć, to myłyśmy się w kałuży. Do Białegostoku przyjechaliśmy w nocy i chcieliśmy iść do domu, do babci na ulicę Kilińskiego. Mama akurat była chora. Obie z siostrą i jeszcze z kimś /chyba to był ktoś z rodziny Zaczeniuków/ wyszłyśmy z wagonu i biegniemy. Szliśmy w stronę miasta. Nagle, nieoczekiwanie usłyszeliśmy okrzyk: stoj, kuda idiesz? Strelat budzi. Zdumieliliśmy się: gdzie my jesteśmy? W Białymstoku czy też snowu do Rosji nas zawieźli. Bo myśmy w transporcie nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że tu są sowieci. I musiałyśmy wrócić do wagonu. Tu doczekałyśmy rana i obie z siostrą pobiegłyśmy do babci, która nadal mieszkała przy ulicy Kilińskiego. To była chyba godzina ósma rano.

Wchodzimy do babci i widzimy: biały obrus na stole, kawa, jedzenie. Matko Boska, to było coś niesamowitego. Babcia nie spodziewała się nas. Babcia zresztą nas nie poznała. Przecież nie było nas przez sześć lat. Wyjechaliśmy jako dzieci, wróciliśmy już jako panny. Pierwsze słowa babci były: a gdzie mama? Bo babcię zaniepokoiło to, że my jesteśmy, a ~~mamy~~ nie ma. Odpowiedziałyśmy szybko, że mama jest, ale została w wagonie, bo jest chora. Ciotka nas ubrała, dała nam jakieś swoje sukienki, ale to na nas wszystko nie pasowało. W dalszym ciągu byłyśmy bose. To było przyzwyczajenie, ale i nie było butów. Wprawdzie były buty na wysokim obcasie, ale myśmy nie umiały w nich chodzić.

Wujek wziął dorożkę i pojechaliśmy po mamę. Powitania to były radości. W prezencie z Syberii przywiozłyśmy suszone jago-

dy. To, co miałyśmy najlepszego.

Tu, na miejscu otrzymaliśmy pomoc. Otrzymaliśmy rzeczy z UNRI. Dużo pomógł nam wujek, który zabrał nas do swojego mieszkania. Do mieszkania na ulicę Fabryczną już nie wróciliśmy. Tam przypadły wszystkie nasze rzeczy. Gdy nas wywieziono, został tam lejtnant. Wszystkie rzeczy tam zostały. Ani ciotka ~~xxx~~ ani babcia nie otrzymała nic. A rodzicom naszym powodziło się dobrze i tam zostało niemało. Byli już zagospodarowani.

U wujka - mamy brata - mieszkaliśmy chyba ze dwa lata. Od pierwszego lipca poszłam /Wanda/ do pracy. Inny mój wujek, mamy szwagier był naczelnikiem w urzędzie skarbowym. On mnie przyjął do pracy, ja tam po prostu uczyłam się. Byłam jakimś tam referentem. Zresztą w owym czasie organizowano kursy dla tych, którzy stamtąd powrócili. Na Syberii nie miałyśmy możliwości nauki w szkole. Myśmy w tamtejszej szkole pracowały jako sprzątaczkę. Tu uczyłyśmy^{sk} w przyspieszonym trybie. Były to specjalne kursy dla repatriantów, podzielone na semestry. W ten sposób myśmy zrobiły małą maturę, a następnie dużą maturę. Następnie ja /Halina/ poszłam na studia, a siostra do pracy. Starając się na studia jak i w czasie studiów nigdy nie mówiłam ani nie pisałam o tym, że byłam na Syberii. Studiowałam w Białymstoku na Akademii Medycznej.

Ponieważ nie eksponowałyśmy naszego pobytu na Syberii, nie miałyśmy kłopotów z tego powodu. Pamiętam, że gdy składałam papiery na studia, wujek pomagał mi pisać życiorys. Zapytałam go, co mam napisać o tych latach. Doradził mi żebym napisała, że przebywałam na terenie Związku Radzieckiego. Nie pisałam, że zostałam tam deportowana czy znalazłam się tam w inny sposób.

Nasza mama 12-go sierpnia skończyła 90 lat i czuje się dob-

rze. Ma niezłą pamięć. Kiedy jej powiedzieliśmy, że będziemy mówić o tym, przypominała nam niektóre fakty, o których powinniśmy powiedzieć.

Nas, Sybiraków, jest coraz mniej. Stale się ludzie wykruszają. Mama nasza nie słyzy. Pani Matecką jest niewidoma. Ale obie są ciekawe świata, wiadomości podawanych przez prasę i telewizję. Ma dwa koty.

O losach ojca nie wiemy dosłownie nic. Mama chodziła, pytała, ale nie dowiedziała się niczego. Uważamy, że jeśli nie wywieziono go do Mińska, to wkrótce rozstrzelano w Białymstoku.

Ojca aresztowano nie w domu lecz na ulicy. Po kilku dniach przyszła do nas jakaś nieznajoma kobieta i powiedziała mamie, że wiedziała, jak ojca aresztowano. Nic nie potrafimy powiedzieć o tej kobiecie, była zupełnie nieznajoma. Aresztowanie nastąpiło na drugi lub trzeci dzień po wejściu Rosjan. Ta kobieta powiedziała, że ojca wskazał na ulicy jakiś Żyd. Natychmiast do ojca podeszło dwóch od tyłu i natychmiast ojca aresztowali. Miał stopień kapitana rezerwy. Przed wojną w Białymstoku istniały jakieś organizacje rodzin, chyba oficerskich. Tam między innymi organizowano bale na cele dobroczynne. Mama w tym uczestniczyła. Odbywały się spotkania żon oficerów.

W naszej miejscowości/chodzi o pobyt na Syberii/ nie było wypadków śmierci głodowej. Natomiast bardzo często umierali Niemcy. Natomiast Czecheny w tych surowych warunkach padali dosłownie jak muchy. Ich przywieziono z ciepłych stron, z gór Kaukazu. Inna sprawa, że z nimi obchodzono się bardzo źle. Po pierwsze dlatego, że oni nie potrafili tak wydajnie pracować jak my. A po drugie, że oni kolaborowali z Niemcami. W grę wchodziły też chyba i pretensje bardziej zadawnione, sięgające

Jeszcze czasów rewolucji, kiedy to oni przeciwstawiali się nowym porządkom. Tam byli to bardzo nieszczęśliwi ludzie. Najczęściej umierały kobiety, ale i wśród mężczyzn śmiertelność była wyjątkowo duża. To było ich narodową tragedią.

Ukraińcy natomiast radzili sobie dobrze. Kazano im się budować. Jednakże Ukraińcy to nie byli zesłańcy lecz przesiedleńcy. Ich przesiedlano nie tylko przed wojną lecz i w czasie jej trwania też za współpracę z Niemcami.

Głodne tam byliśmy zawsze. Ciągłym marzeniem było to, aby się najeseć. Jesienią było trochę kartofli, czy to zarobionych czy kradzionych. Jeśli udało się ukraść trochę pszenicy to nigdy tyle, aby coś piec. To szło na zalewajki. O chlebie można było tylko myśleć. Tam, w tamtych warunkach nauczyliśmy się kraść, bo nie było innego wyjścia. Zresztą tam wszyscy, dosłownie wszyscy kradli, bo wszyscy chcieli żyć.

Tam chodziliśmy w dużych butach zwanych "pimy". Były to obszerne buty. Między nimi a nogą było sporo miejsca. Tu wsypywało się zboże, które w ten sposób przynoszono do domu.

Najciekawsze i najśmieszniejsze było to, że po rozliczeniu naszej pracy /sześć lat pracy w kółchozie/ ja /Wanda/byłam winna kółchozowi masę pieniędzy. Nie pamiętam w tej chwili sumy, ale z pewnością była to duża suma. A za to, że tam w kółchozie w czasie prac polowych jadłam zacierkę. Dniówka obrachunkowa była mniejszej wartości niż ta zacierka. Czyli pracując w kółchozie nie byłam w stanie zarobić na swoje utrzymanie. Wówczas wynikł problem: co robić z naszym długiem. Jak Polaków można puścić, skoro oni są nam winni tyle pieniędzy. Ale w końcu nasze długi umorzono. A przecież ja tam przez sześć lat tak ciężko pracowałam. Przez ten czas nie miałam nigdy urlopu. Tam

pracowałam tak ciężko, że u nas w Polsce mężczyźni nie pracują tak jak ja tam. Musiałam piłkować drzewo, a następnie je rąbać. Ciężką pracą było też młócenie, wiać, nosić ciężkie worki. To była bardzo ciężka praca. I za tę swoją ciężką pracę byłam im jeszcze winna. A tam jadłam trzy razy dziennie zacierkę, ani razu chleba. Zacierka, paniętam, była zalewana jakąś żółtą oliwą.

NKW/rządsko interweniowało w życie tamtejszych obywateli. Ale tamtejsi ludzie bardzo się bali tej instytucji. Wydaje się że w tym względzie kobiety były bardziej odważne. Mężczyźni byli bardziej zastraszeni.

Kiedy już odjeżdżaliśmy, to te kobiety nas odprowadzały, jak one bardzo płakały. wyległa cała wieś, cały kołchoz. Jechaliśmy na kilku podwodach. Odprowadzali nas aż do samego lasu. One płakały: wy jedzicie i będziecie miały życie, a my tu poginiemy. zupełna beznadzieja.

natychmiast po powrocie pisałyśmy do nich listy, ale chyba żaden list do nas do nich nie doszedł. Myśmy nie dostały żadnego listu. Mama pisała też, ale również nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Ale do pana Chapiorskiego ktoś stamtąd przyjeżdżał.

+ + + + + + + + +

Do relacji dołączone zostają kserokopie dwóch dokumentów /właściwie trzech/ oraz prywatnego listu pani Promińskiej /matki Wandy i Hsiny/ do swojej matki. List datowany jest 5-go czerwca 1940-go roku.

Notował: S. Sianko.

9. С О Ю Э
С Л В С К И
П Р О Т О К
В С С С
Г О Р О Д
П А Р Т И Я

Удостоверение

Одно изданных в. Промышленной Ванды
в том, что она является предметом
мелкой Лоджа Патриотов Польских
написанная Петром Павловичем

Прода и всем партизанским и совет-
ским организациям в связи с не
С Промышленной Ванды без возмещения
т.е. и ссудит.

Удостоверение действительно с 1. 1945
до 15. 12. 1946:

Председатель Районного Ком. Яковлева
Лоджа Патриотов Польских

С.в. с.и.р. Жуковский (Жуковский)

Р.р.р.р.

Водяной у. Промышленной станция
" " Водяной Анти.
" " Голубой Анти.

это 4/1 45. было сделано окуп и привезено
против брешинского т.и.ф. и дезертиров,
и пов. т.и.ф. 10/1 45. привезено



Г.р.р.р.р.

Kochane Mamusi!

Wszystkim bez wyjątku, a zwłaszcza na to re brak pieniędzy aby wezwierać
i w list bez wami przodku dojdzie

Tyle ciżbą wystąpiam do mamusi, a odpowiedź
nie mam, jeżeli mamusi nie przyjdzie, to może
pomyślić nam depresję, a bedriemym wiedzieli coś o
domu. Może moim by było zobaczyć się tam u
odpowiednich władz, aby nas z tego zabrali tym bardziej
jeżeli jesteśmy wrodzawa na nic się tutaj nie przydamy,
a licząc na przyszłą pracę linii na całe moim
chociażbyś nie zasobata, zapalam ci niesłowny
list od jednego chłopca który co dzień przychodzi jak
do uśmiechu wogóle wande ma powstrzymać trochę
zaczęła i to na wygnaniu nie trochę mnie
to ciżba, gdzie ciżba się już napowiadają stary, że
nam chociaż trochę. Kochane mamusi co dziś

wogóle...
dziej u naszego dobrego znajomego...
jak nam się powodzi, co robi, czy...
serwować swoje uśmiechy...
Andri panim Franciszka, co...
też niekompatybilnej...
nam do Was...
nie...
jes...
dla...
Kari...
byłai...
Kochany...
a po...
by...
Ciebie mamusi...
i...
Szale

УДОСТОВЕРЕНИЕ

Предъявитель сего гр Брошневская Станислова
Петровна год рождения 1901.

место рождения Дер. Белоостро

На основании указа Президиума Верховного Совета амнистирован как польский гражданин и имеет право свободного проживания на территории

30-й УССР, за исключением пограничной полосы, запретных зон, местностей объявленных

№ 1225 в положении и режимных городов первой и второй категории.

Селезюк с. — Железюк

При нем находятся:

1. дочь Брошневская Валера Станисловна 1927г.
2. — — — — — Катя — — — — — 1928г.

№ 3

Гр Брошневская Станислова Петровна направляется к избранному им месту жительства Остаток в Фриотомском Районе

Удостоверение действительно на три месяца и подлежит обмену на паспорт.
Изложенное удостоверяется подписью и печатью

Нач.

Сергей Иванович Райотделения НКВД
Брошневский

Секретарь РО НКВД

Федотов

С. Брошневская
Новоширская
18/11 1946
Паспорт